

Wolne Słowo

TYGODNIK SPOŁECZNY, POLITYCZNY, LITERACKI i NAUKOWY.

DEWIZA: „Sercem gryzę“

Słowacki



POD REDAKCJĄ **Leo Belmonta.**

Przedpłata z dodatkiem wynosi:
w Warszawie z odnoszeniem, na Pro-
wincji i w Cesarstwie z przesyłką:
kwartalnie 1.75 k.
półrocznie 3.40 „
rocznie 6.60 „

Numer pojedynczy 15 kop.
„ podwójny 25 „

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Marszałkowska 77 m. 17.

Telefon № 118-98.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—6.

Redakcja w Poniedz. i Piątki od 4—6.

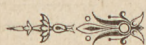
Cena ogłoszeń:

Za wiersz petitowy strona I 50 kop.
IV 30 „
Reklamowe (przed i za tekstem) 40 „
Środkowe (nie obok tekstu) 20 „

Uwaga. Zagraniczni abonenci dopła-
cają za przesyłkę kwart. kop. 15,
rocznie kop. 40. Zmiana adresu
kop. 10.

Od Redakcji.

Tym, co pospieszyli gorąco powinszować nam zmartwychwstania, reda-
kcja — miast próżnemi słowy wdzięczności — odpowie wzrastającą warto-
ścią pisma, a w miarę powodzenia przyciągnięciem wybitnych sił piśmien-
niczych i rozszerzeniem rozmiarów pisma.



A F O R Y Z M.



Jeżeli Aspazja mówiła Peryklesowi, że „mężczyzna ma tysiąc sposobów okazania
kobiecie miłości, ale tylko jeden sposób okazania jej szacunku t. j. małżeństwo“, to każda
redakcja może powiedzieć czytelnikowi, że ma on tysiąc sposobów okazania jej szacunku,
ale tylko jeden miłości t. j. abonament.



TREŚĆ NUMERU:



1. Łazarzu, wstań! (inwokacja).
2. W promieniach łaski.
3. Warszawa w kinematografii:
Apatja i geszeft.
Warszawska Hellada.
„Wolna miłość“.
Na cmentarzu żydowskim.
4. Komentarz do aktu obrzezania po śmierci.
5. Na marginesach „wielkiej polityki“ czyli
Dwie jedyne polskie racje stanu.
6. Ginące sny (wierszyk).
7. Tragedja Szecha.

8. Proces ogółu polskiego z poezją w XIX
wieku. (Na przełomie pomiędzy roman-
tyzmem i pozytywizmem).
9. Aforyzmy.
10. Nowa bajka z tysiąca i jednej nocy.
11. O powolnem rozwijaniu się uczucia prawa.
12. *Kronika bieżąca*: Znamienna odezwa i zam-
knięcie szesnastu szkół polskich.

W dodatku: Zbrodniarze (fantazja). Słońce (no-
wela). Poezje satyryczne: Sprzecznosc.
Niemiecki filozof. Bajka ideowa. Życzenie.

Dzielimy się z czytelnikami miłą wiadomością, że Szanowny Profesor Ignacy
Radliński przyrzekł ofiarować „Wolnemu Słowu“ ustępy z najnowszego swego dzieła:
„O Spinozie“, nad którego ukończeniem obecnie pracuje.



Mączka Mleczna Nestle'a

jest idealnym pokarmem dla niemowląt, oraz dla osób dorosłych, dotkniętych chorobami żołądka, jakoteż starców i rekonwalescentów.

**GALA
PETER**

Prawdziwa
i najlepsza

Czekolada

Szwajcarska.

Société Anonyme du „Bec Auer”

Petersburg, Moskwa, Odessa, Ryga, Warszawa.

ODDZIAŁ WARSZAWSKI:

Marszałkowska № 137. — Tel. 747.

Palniki i Koszulki **AUER** (oryginalne)

INSTALACJE.

Konserwacja istniejących urządzeń palnikami

Auer 33⁰/₀ oszczędności.

Palniki i Koszulki „Graetzin”.

Skład lamp, żyrandoli do gazu, elektryczności, nafty i spirytusu.

Piecyki gazowe systemu **DELAGE**. Kuchenki gazowe i spirytusowe.

Wyroby moje nagrodzone zostały **ZŁOTYM MEDALEM** na Międzynarodowej Wystawie Higienicznej 1904 r. w Paryżu.

PAROWA FABRYKA
Cukierków Angielskich,
Karmelków, Marmolady,
Cukru lodowatego, Czekolady,
i wyrobów
galanteryjno-cukrowych

„AMOR”

złoty Medal Paryż 1904,

→○→ w WARSZAWIE ←○←

Fabryka i Skład: Bonifraterska № 3. Telefon 8024.




LEO BELMONT.

Socjalizm i Sprawiedliwość

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolfa.

We wszystkich księgarniach.

Cena 1 rb. 50 kop.

T-wo A. RALLÉ i S^{ka}
WARSZAWA
Plac Teatralny No. 9

Poleca ostatnie nowości
Perfum, Mydeł i Wody Kolońskie
„Djemila“, „Elida“
i „Chrysantem“.

Węglu KOKS i ANTRACYT
z pierwszorzędných kopaln

Hurtowo-detalicznie z dostawą od 10 korcy.

Ceny najniższe.

Rydzewski, Freider i S^{ka}

BIURO: Marszałkowska 146, telef. 77-02.
SKŁAD: Srebrna 3 „ 81-03.

Wolne Słowo

TYGODNIK SPOŁECZNY, POLITYCZNY, LITERACKI i NAUKOWY.

Adres: Marszałkowska № 77.

POD REDAKCJĄ **Leo Belmonta.**

Lazarzu wstań.

Lazarzem byłeś „Wolne Słowo!”
Głupi zawarłeś z *Prawdą* ślub...
Wtem wicher krzyknął ci surowo:
„Lazarzu znijdź-że w grób!..

Jam leż nie ronił po twej stracie,
Ani mnie zwątpień oplótl wąz...
Że wskrzesiesz jeszcze w białej szacie —
Wierzyłem wciąż.

Bom czytał twoje przeznaczenie —
Wiedziałem: to *Przypadek* był,
Co pehnał cię nagle w grobu cienie--
Tak w pełni sił!..

Bo kto na ołtarz całopalny
Całą swą duszę złożył szczerze —
Sądzony zgon mu *naturalny*
W obojętności atmosferze!...

Będzie go potwarz kasać zdradnie,
Mileczenie zmrozi jego głos,
Dzień każdy z wiary go okradnie —
To jego los!...

Nie zginie dumnie u wyłomu,
W laurowym wieńcu, w ognia skrach...
Ten przy zamkniętych swego domu
Upadnie drzwiach!...

Tego nie trafi w pięknej walce,
Zgon prędkie, niosąc, szczęsny strzał —
Drać serce własne, skrwawi palce —
To jego dział!

Przedwczesne tobie śmierci cienie...
Jeszcze nieś próżno pracy dań...
Dopełnij swoje przeznaczenie —
Lazarzu wstań!

PRZYGRYWKA.

W promieniach łaski.

Czy nie wydaje się wam, kochani czytelnicy, że ze zniesieniem stanu wojennego jakgdyby cokolwiek pospieszono się?

Spadło to nam tak nagle, jak śnieg na głowy w Październiku

Jeszcze wczoraj myśleliśmy, że nie zasłużyliśmy. Jeszcze wczoraj nie ważyliśmy się nawet marzyć o „nadzwyczajnej ochronie“!

A dziś... stanu wojennego ani śladu! Jak gdyby go nigdy nie było...

Nie wydaje się wam?..

Dziwicie się, skąd mi takie myśli przychodzą do głowy?

Bo ja, widzicie, marzyłem, że „Wolne Słowo“ „poczę wydawać dopiero... „na

wiosnę“. Że głos jego zabrzmi o poranku słonecznym wraz z piosnką skowronka nad glebą oracza. Wtedy, kiedy gimnaziści grają z pensjonarkami w „zielone“. Kiedy to — wedle słów Heinego —

Filistrzy w niedzielnych strojach
Mkną w lasy, pola i góry,
Jak młode kozłeta skaczą
I sławią piękno natury!

Kiedy pierwiosnki „błyskają ze złotych obłonek“. Kiedy ziemia pęka drgnieniem rodzajnem — i wychodzą z pomroku piękne purpurowe i białe kwiaty. Kiedy słońce śmieje się pełnią gorących blasków... Wówczas, kiedy żaden Mefisto nie zawoła do mnie:

„Za wcześniej, kwiatku, za wcześniej...
Jeszcze północ mrozem dmucha!“...

A tu wypadło mi przemówić do was po-
nownie z mojej skromnej trybuny redaktor-

skiej w momencie ostrego chłodu. Kiedy niebo obleka się w siny mundur. Kiedy śnieg ciężarem swoim przywala domostwa nasze. Kiedy pada całe godziny, a potem przemienia się na brukach naszych w obrzydlive błoto. Kiedy stwardniała ziemia nie rodzi. Kiedy groźba mrozów wisi w powietrzu.

Powiecie mi pewnie, że skoro pospieszono się tak nie w porę dla mnie, mógłbym sam poczekać... do wiosny.

Ale niechaj tak mówią inni, dla których „Wolne Słowo“ nie jest słowem *mimowolnem*, wracem się z piersi...

Niechaj tak mówią ci, co gotowi są „prokować“ o słońcu w godzinie złotego południa. Ci, co przychodzą po koście wygodnie położyć się na sianie

Ja należę do tych, co wiedzą, iż nie tylko w pierwszym zimnym promieniu łaski, ale nawet czarną nocą ma się obowiązek mówić ludziom o przyszłym słońcu... Zawsze, kiedy duszność nie zwiąże ust!.. Mówić choćby półgębkiem, kiedy usta nie mają mocy rozewrzeć się do okrzyku.

Czuje, że posiadam prawo i powinienem skorzystać z tego, że atmosfera nasza uczyniła się *łżejszą* i że mogę przeto znowu stanąć przy mojej *ciężkiej* taczce...

Staję przy niej z tem mieszanem uczuciem rozkoszy i bólu, dziecięcej świadomości swoich szczęśliwych przeznaczeń i mężkiej świadomości, że się nie dopełnia, twórczej dumy i wiary, która umiera, ale się nie poddaje — z tem uczuciem, które natchnęło Konstantego Balmonta do wyśpiewania jednego z najpiękniejszych hymnów wszechświatowej poezji na temat z Anaksagorasa:

„Przyszedłem na ten świat, aby widzieć
[słońce“

I nieb błękity,
Przyszedłem na ten świat, aby widzieć
[słońce

I górskie szczyty.
Przyszedłem na ten świat, aby widzieć morze
I bujne dolin kwiaty;

Mój wzrok w spojrzeniu jednym zawrzeć
[światy może,

Ja władnę temi światy!
Jam zwyciężył chłodnego ciężar zapomnienia
Twórczych marzeń mych mocą;
Jam w każdym oka mgnienu pełen objawienia
Śpiewam dniem i nocą.

Boleść była rodzicą mojej pieśni zdroja
Lecz piłem z kruz miłości...

Gdzie pieśniarz, co ma lutnię dźwięczną, jako
[moja,

Komu duch mój zazdrości?!

Przyszedłem na ten świat, aby widzieć słońce;
I niech cień je zasłania,
Ja śpiewać będę... W pieśni mojej uczęczę
[słońce

W godzinie konania!



Warszawa w kinematografie.

1. Apatja i geszeft.

Zdaje mi się, że artykuł powyższy nastrojony jest na nutę zbyt wysoką.

Żyjemy w mieście, gdzie wszelki liryzm jest śmiesznością.

Żyjemy w czasach, kiedy entuzjazm uchodzi za coś nieprzyzwoitego.

Senna apatja oblokła dusze. Szara pajęczyna legła na umysłach. Serca chodzą regularnie, jak zegarki.

Śród ogólnej ciszy krzątają się jeszcze tacy wyjątkowi idealisci, jak niezmordowany dr. Augustyn Wróblewski, którzy wierzą w ewolucję umiłowania śród nas ideałów czystości, kiedy dziś pani X. da na „Czystość“ 10 kop., a jutro pani Y. — 20 k.

Po za tem nic, albo prawie nic — jeżeli nie liczyć aż dwóch towarzystw równouprawnienia kobiet, z których każde na swoją własną rączkę („rękawiczek № 5“) domaga się równouprawnienia w głosowaniu z mężczyznami, nie dostrzegając, że wobec śmierci i udziału jesteśmy dawno równouprawnieni.

Ostatni i jedyny przedmiot warszawskiej satyry, pan Rajchman, wyjechał do Paryża — i satyra warszawska o mało co nie spostrzegła, że ma pusty czerep.

Apatja objęła królowanie...

Śród ogólnej senności niezmęczone pracują tylko małe geszeftciki. Pochowały się jak myszy po kątach prywaty i gryzą słoninkę. Obrastają w tłuszcz i marzą o zostaniu grubemi interesami.

I zostaną niemi, jeżeli nawet dostaną się do pułapki bankructwa... z podwójnemi drzwiami.

Od czasu do czasu pojawia się na scenie jakiś wielki interes — złoty, jak zawartość kolektora. Jeździ powozem po drogach szerokich do wymarzonego na wieki „Młocińskiego parku“. I śmieje się z uczonych głupców, pracujących bezinteresownie dla idei, oraz z utalentowanych niedołęgów, chodzących zawsze bez butów.

A co tak fatalnie śmierzdi na drodze?

To bankier von Geszeft w tryumfalnych szatach dymu automobilem z giełdy powraca do swoich dóbr.

Nawet królowa Apatja schodzi z tronu, staje na drodze, gapi się nań zachwycona i pierwsza oddaje mu pełny szacunek dyg...

2. Hellada Warszawska.

...Tymczasem ocalona z powodzi, która załaziła projektowane uroczystości jubileuszowe Świętochowskiego, Aspazja zasiada na ławie oskarżonych.

„Uniewinniona!“ — powiada basowym głosem Leszczyński, zawija się w grecki chiton i idzie spać, bo już jest godzina 1-sza po północy.

Publiczność, zwłaszcza ta elegancka, spieszy do swoich palt, jakgdyby przebywanie w greckim powietrzu dłużej o jedną minutę mogło zaszkodzić jej szacownemu zdrowiu.

Idę przez ulice smutny i medytuję, gdzie się podziała uniewinniona przed dwoma z połową tysiącami lat Aspazja.

Gdzie jest owa piękna mądrość i mądra piękność?!

Zachodzę do biura adresowego idei...

„Aspazja wysłana administracyjnie przez historję na wyspę Utopię“ brzmi odpowiedź.

Gdzie jest Perykles?

— Wyjechał niewiadomo dokąd... bez wymeldowania się. Został winien za komorne i podatek mieszkaniowy.

Robi mi się wstyd, że mogłem zapytywać o takiego człowieka

Jeszcze mi w uszach drżą niektóre słowa jego natchnionej przemowy:

„Przy naszych bowiem słupach granicznych świat w rozwoju nie zatrzyma się, lecz wywróci je, pójdzie dalej i zatknie sobie nowe. Czy zaś możecie być pewni, że za wami kończy się postęp myśli ludzkiej, że te zasady, za które sądzicie Aspazję, nie będą wyznawane powszechnie!“

Ale już tym słowom towarzyszy śmiech... Oglądam się... Na rogu ulicy stoi Hermippos — śmieje się — i rękę wyciąga uroczyście — i powiada:

„Sędziowie! domagam się rewizji procesu Aspazji... oskarżam Peryklesa o fałsz, blagę i zawracanie głowy ludziom. Dwa tysiące pięćset lat minęło od jego obrony — a słupy Elpiniki stoją niezmożone! Wzywam Warszawę na świadka, że zasady Aspazji są poniewierane powszechnie i że autor „Aspazji“ załapał się, przenosząc światy marzeń swoich w głąb wieków... Domagam się, aby Peryklesa ekshumowano i obrzezano mu jego krasomówstwo.“

I chce mi się krzyknąć:

„Hermippos vicisti! Zwyciężyłeś Hermiposie!“
Ale robi mi się wstyd. Może mnie przypadkiem podsłuchać jeszcze jakiś postępowy demokrat.

Tłumię okrzyk... i biegnę przez las słupów granicznych Elpiniki.

W oczach mi ciemno. O mało nie wpadam na przechodniów.

Na rogu ulicy stoi warszawski Archimedes, rysuje coś na parkanie — i powiada do mnie surowo:

„Noli tangere circulos meos.“ Co znaczy:
Nie waz się ruszać moich cyrkulów.

3. „Wolna Miłość.“

Ale Warszawka pogrążona jest w *sen*, dopóki nie przychodzi *sen-sacja*.

Wtedy wszystko porusza się, jak puste kłosa pod wiatru powiewiem.

Gdyby afisze ogłosiły:

„Niektóre właściwości naszego prawa małżeńskiego“, albo „O ślubach cywilnych“, lub „Prawo rozwodu“ i t. p. — na te odczyty poszedłby pies z kulawą nogą, poprosiwszy w kasie o najtańszy bilet, lub wreszcie kilka osób poważnych.

Ale afisze krzyknęły: „Wolna miłość!“

Dwa efektowne grzyby w jednym sensacyjnym barszczu.

„Wolność“ — tam, gdzie ludzie rozumieją tylko albo niewolę, albo swawolę! I „miłość“ — rzecz tak rzadka pomiędzy dwoma pokrewnymi biegunami racjonalnie uporządkowanego świata — między biegunem zarejestrowanych małżeństw z interesu i biegunem rejestrowanej lub nierejestrowanej prostytucji ulicznej!

Potwór o dwóch głowach!

Cała Warszawka, która nie potrafi trafić do odnośnych książek, poleciała na te odczyty kąpać się w skoncentrowanym pocie ludzkim.

Doznała rozczerowania.

Zgorszył się i *zasmucił* tylko jeden książdz Wesolowski.

Zdawało mu się, że słyszy propagandę parzenia się sposobem „bydłał w oborze“. Rozumiem jego oburzenie. Jako duchowny, nie może on sobie wyobrazić żadnego nieśczęśliwego małżeństwa bez błogosławieństwa kościoła. Jako człowiek, dobrowolnie oddalony od płciowego życia natury, jest przekonany święcie, że byki i krowy na łące wiążą się *ślubem cywilnym* i że polski koniuszy Wojtuś pełni w stajni funkcję mera francuskiego dla ogierów i kobył.

Natomiast cywilne relacje, które mnie doszły na temat owych odczytów brzmiały zupełnie inaczej.

— O, Szukiewicz oszukał mnie! — skarżyła się przedemną pewna brunetka, przewracając namiętnie oczyma. To było dosyć suche, co on mówił...

— „Wilgotna ręka u pani“ — odpowiedziałem jej słowami Szekspirowskiego Otella, dodając zaraz w ślad Desdemony: „Bo jeszcze wiek jej nie zmroził, ni żadne cierpienie“.

Bogaty kupiec, który zniżył się do tego, że raz jeden w życiu („ostatni“) poszedł na odczyt, posiadacz jednej brzydkiej *legalnej* żony i jednej ładnej *wylegalnej* kochanki (bo ta wylega się po całych dniach) — skrzywił się ironicznie i rzekł do mnie łamanym językiem gallo-germańsko-Sarmackim:

— *Parlez moi nicht von Szukiewicz.**) To wściekły monogamista!..

A piętnastoletnia pensjonarka, czarnooka blondynka, córeczka tego pana, zatrzymując mnie w przedpokoju, gdy odchodził szepnęła do mnie naiwnie:

— Jakto? proszę pana... To ludzie mają się jeszcze krępować... względami miłości? Jakaż to będzie wolna miłość?

4. Na cmentarzu żydowskim.

Ale życie nasze porusza się...

Zwłaszcza życie żydowskie.

To — na cmentarzu!

Pewnego dnia ubodzy i pobożni żydzi, którzy prawie bezinteresownie (z nadzieją na zapłatę w niebie) poświęcają się obmywaniu, maglowaniu i przepuszczaniu wody przez przewód pokarmowy trupów żydowskich — zobaczyli na pochyłych deskach rzecz niesłychaną.

W pokoju cmentarnym niemowlę żydowskie, *dziesięciomiesięczne* i... *nie-ob-rze-za-ne!*!...

Poruszyli się pobożni...

Przygotowali szkła, które w danym wypadku winny zastąpić noże rytualne, przeznaczone dla napletków żywych.

Ale naraz zatrzymała je ręka ojca niemowlęcia, pana Grynszpana:

— Protestuję!

Ośłupieli.

Rzekłbyś, że to w koszerne rondle dogmatyki talmudycznej z miedzi ciągłej, klepalnej i wytrzymałej, pod wpływem wilgoci czasu rozkładowego wżarł się jadowny zielony *grynszpan*.

Odpowiedzieli, jak więzień Watykanu:

— *Non possumus!* (Nie możemy).

Światli członkowie gminy żydowskiej dali zlecenie, aby niemowlę pochowano w tym stanie, w jakim zostało przyniesione — bez ułatwiania mu stosunków płciowych i bez zabezpieczania go od skutków *phimosis* na tamtym świecie. Ale rabinat odpowiedział stanowczem:

— *Non possumus!*

Na jego sfanatyzowanym mózgu ciążyła myśl tych, którzy przed kilku tysiącami lat, na wschodzie, w innym klimacie, gdzie rozpowszechnione stłuszczenie napletka przeszkadzało istotnie stosunkom płciowym, gdzie w warunkach niedostatecznej wiedzy medycznej wszystkie choroby weneryczne przypisywano bez różnicy i w większej części *phimozie* — stworzyli względnie czystą gminę obrzezanych, którzy wystrzegali się stosunków z nieobrzezającami i ich kobietami zameźnami, posądzając niesprzymierzonych z Abrahamem o roznoszenie zarazy.

Nieoświeconych duchownych nieoświeconego tłumu przytłaczała myśl tych, którzy czasu Wespazjana kiedy chciwy fisk rzymski zarządził rewizję cielesną uchylających się od specjalnego żydowskiego podatku, nakazali dodatkowe rozdarcie korony nasłórką*), aby przeszkodzić sztucznemu przedłużeniu *praeputium****), praktykowanemu celem ukrycia obrzezania. Tak nieodzownym wydawało się przewodnikom Izraela owo religijne umundurowanie, wyróżniające wyznawców wiary w Jedyne Boga nawet w kąpiel.

Ciemnota odpowiadała prześladowaniu zdwojonym uporem fanatyzmu.

Płynęły wieki. Ciemnota prześladowców kwitnęła. Równocześnie kwitnął fanatyzm prześladowanych.

Okropny owoc tej tragedii dziejowej urodził się jeszcze na warszawskim cmentarzu starozakonnych w Październiku 1908 r.

Trupa obrzezano.

„Jehowa musi odróżnić swoich na tamtym świecie“ — objaśnił mnie pewien na-bożny żyd.

Komentarz do aktu obrzezania po śmierci***).

Jak wytłomaczyć wyżej opisany „wypadek“.

*) Drugi akt obrzezania „perea“.

**) Maszychos Orla. Epiplamos.

***)) Oświecenie *psychologiczne* tej sprawy dał mi w № 42 „Prawdy. Tu dajemy *społeczne* P. Lichtenbaum oświecił ją rzeczowo w № 41 „Izraelity“ pod kątem *prawnym*.

*), „Pan mi potrzebujesz nie mówić o Szukiewicz“.

Wola ludzi światłych w gminie żydowskiej wobec przewagi opinii rabinatu waży tyle, co ziarno pszeniczne przeciw Jona-szowej dyni.

Bo nasze życie społeczne od dawna kręci się w deptaku, jak koń oślepy. Bo skre-powanie inicjatywy społecznej umysłów światłych położyło na inteligencji żydowskiej pieczęć niemocy. Bo zaginęło także owo pokolenie starsze światłych żydów epoki Wielopolskiego, którzy rozpoczęli dzieło jakiejś takiej reformy. Bo urodziło się nowe pokolenie, które spotęgowało bolesną niemoc zewnętrzną haniebną indolencją wewnętrzną. Pozbawione ducha religijnego nie rozumie ono potrzeby ewolucji religijnej tłumu, tak przywiązanego do wiary ojców swoich, jak Izrael — *twórca wiary w Jedyne Boga, prawowity acz niedobrowolny ojciec chrystjanizmu*. Bezmyślna niewiara nie wytwarza reformatorów. Pokolenie bezwyznaniowców, które odrzuciło z drwinką przestarzałą ideologję „Polaków wyznania Mojżeszowego“, nie potrafiło wytworzyć dotąd nowej ideologii — zwłaszcza szlachetnej ideologii „Wolnej Myśli“. Zimne, o duszach próżnych, nie ma z czem iść do ciemnego swojego ludu — nie ma czem go powołać: „Wstań — i oczyść się!“ Ono potrafi zaledwie wstydzić się przez pięć minut — bo ten „ruch“, który — według doniesienia „Nowej Gazety“ — powstał wśród asymilowanych żydów po ohydnych fackie obrzezania pośmiertnego — to miraż. Skończy się na kilku protestach. Bo głos Kramsztyka, Goldflama i Lichtenbauma przebrzmi bez echa. Przeważa inna ostrożna opinia, że tu chodzi „nie o etykę, ale o sprawy rytualno-obrzędowe“. Gwałcenie przez ciemny kler przekonań odważnego Izraelity — to nie jest kwestja etyki?!

Wiem, są jeszcze inni żydzi, którzy uważają się za jedyne prawowite mistrzów ludu żydowskiego, ponieważ piszą w żargonie. Ale tym obce jest zdanie Milla, że

„choroby społeczne nie mogą być leczone, jeżeli nie będą ujawnione“. Dla nich — choć są pomiędzy nimi ludzie osobiście bezprzesądni — ważniejszem jest od otworzenia oczu ludowi, który rzekomo kochają, utrzymanie muru pomiędzy żydowską i chrześcijańską społecznością — bo oni nie wiedzą, że choroba umysłowa i moralna każdego z dwu ludów, mieszkających na jednej ziemi, jest z konieczności warunkiem, zaostrażającym chorobę drugiego. Sjonisci nie wiedzą tego tak samo, jak antysemita! Sjonisci umieją się tylko wstydzić. Wyklęli Ascha, protestującego w pismach *polskich*, przeciw ohydzie obrzezania zwłok, jako „zbrodniarza“.

Bo oni nie zrozumieli, że Grynspan i Asch rzucili żelazną rękawicę w twarz asymilacji żydowskiej, że mogli i musieli to uczynić właśnie na forum polskim, bo inaczej nie byliby dosłyszani i rozumiani.

Nie zrozumieli, że tu chodzi o wyzwanie inteligencji żydowskiej — aby ruszyła się wreszcie do roboty nad oświeceniem żydowskiego ludu, aby dała po temu odpowiednie siły i środki.

Bo ta asymilowana inteligencja musi wreszcie zrozumieć, że sprawy religijne żydowskie nie mogą być jej obce — że dopóki nie stanie ona energicznie do pracy oświatowej, dopóty na każdym nowonarodzonem jej dziecięciu będzie ciążyła ręka rzezaka i każdy ślub jej odbywać się będzie pod niewidzialną dla niej, ale prawnie wymagalną kontrolą podpisu rabina, i że po nieobrzezane zwłoki jej niemowląt świętokradzko sięgnie dłoń fanatyków!

A ponieważ nie chcą tego zrozumieć, jest rzeczą konieczną, aby w chwili, kiedy żydowska ciemnota dokonywa aktów barbarzyństwa — szept zgrozy wydostał się poza ciasne uliczki żargonowego ghetta na plac publiczny, aby pręga czerwonego wstydu osiadła w pełnym świetle dnia na twarzach wszystkich żydów oświeconych!

Na marginesach „wielkiej polityki“

CZYLI

Dwie jedyne polskie racje stanu.

Przed bramą mojego domu — który jest domem mojego gospodarza — wisi skrzynka redakcyjna.

Pomiędzy końcem Czerwca a obecnym końcem Października rewirowy kilkakrot-

nie zapytywał mnie z monitującą ciekawością:

— Dlaczego ta skrzynka wisi jeszcze, *koli* „Wolnoje Słowo“ zawieszono?

Tłumaczyłem się z nieśmiałą logicznością:

— Ponieważ „Wolne Słowo“ zawieszono, to i skrzynka naturalnie zawieszona.

Więc wisiała. Przez pewien czas wrzucano mi tam pisma, których redakcje obezły się ze mną po europejsku i przysyłały mi swoje wydawnictwa na zamianę. Są takie cudownie grzeczne wyjątki. Zawieszenie mojego pisma pozbawiło mnie większości tych pism. Utrata praw — jako konsekwencja utraty praw.

Chodzę tedy na wielką politykę do cukierni.

Coś mnie tam pecha zwłaszcza w obecnej dobie zakwitania „nowopolskich gruszek na neosłowiańskiej wierzbie“ — według ironicznego określenia „Gońca“.

Zawijam się w płachty gazet — i studuję.

Chłopiec cukierniczy dochodzi do mnie i pyta natrętnie:

— Czy Panu kawy, czy herbaty?

— Mój drogi, daj mi pokój. Jak mam gazety, jestem zupełnie szczęśliwy. Nie potrzeba mi nic więcej.

A jednak nie jestem zupełnie szczęśliwy.

Trapi mnie mocno myśl o tem, że nie wiem, jak należy myśleć zupełnie po polsku w kwestyi aneksyi Bośni i Hercegowiny przez Austrię.

„Głos Warszawski“ przekonywa mnie wymownie, że jedynym polskim punktem widzenia jest przykłaśnięcie wzmożeniu żywiołu słowiańskiego w Austrii. Tak uczynił już Kramarz. Tak uczynili polscy posłowie w parlamencie wiedeńskim — przez patryjotyzm ogólnie polski i lojalizm jednokordonowy. Austrija na stanowisku środkowo-europejskiego mocarstwa uprzedza Rosję w prowadzeniu polityki słowiańskiej, gotuje w przyszłości nieprzejmennie siurprizy Niemcom, niezadługo przewagą wszystkich głosów słowiańskich pogłębi hakatę pruską i przyjazną jej butę austro-niemiecką!

Słowem, według wywodów „Głosu Warszawskiego“ niepodobna odmówić szczerego poparcia państwu austrijackiemu, które — jak się okazuje — w słowiańskiej części swojego niemieckiego monarchy, nieśmiertelnego Franciszka-Józefa, spiskuje przeciw państwu i dynastyi w ich części niemieckiej. Tak nakazuje jedynie prawdziwa polska racja stanu.

Bardzo dobrze!.. Ale oto zjechali do Warszawy Serbowie, z minami żalobnymi, zawinięci w „Czarny Szal“ Ujejskiego przeto bliżcy nam podwójnie — krwią i deklamacją koncertową. Szukają u nas pomocy, skoro Mienszykow radzi im mniej energicznie pobrzękiwać szabelką, bo Rosja nie

włoży awanturniczo głowy w gardziel Marsa dla pięknych oczu Serbo-Chorwatek. I oto „Przegląd Poranny“ w wymownym, jak zawsze, artykule wstępnym roni łyżę, że jego reporterja nie jest skrzydlatą husarją i nie może wyruszyć na pomoc zgębionym. Ale możemy uczynić to, co od nas zależy — doradza publicysta „Przeglądu“ — powinniśmy protestować w Dumie Petersburskiej przeciw pogwałceniu prawa przez siłę. Tak bowiem nakazuje jedynie prawdziwa polska racja stanu.

Są zatem dwie jedynie prawdziwe polskie racje stanu.

Jestem w wielkim kłopotcie, przy wyborze prawdziwie polsko-słowiańskiego uczucia. Nie wiem, czy mam winszować Słowianom Bośni połączenia się z wielką monarchią, prowadzącą „szczerą politykę słowiańską“, czy płakać „nad mogiłami nadziei serbsko-chorwackich“, które — według „Kurjera Warszawskiego“ nie mogą się nigdy ziścić, ponieważ opierają się na straszliwie pokruszonym a niezróżniczkowanym dokładnie materjał etniczno-wyznaniowym z mieszaniny dwóch kultur, bizantyjskiej i rzymskiej i trzech wyznań: prawosławnego, katolickiego i mahometańskiego. Wprawdzie „Kurjer Warszawski“ dodaje, że „w każdym razie moment obecnego wstrząśnienia zapadnie głęboko w duszę Serbo-Chorwatów“, ale ja nie wiem *dzisiaj*, co mam z tym fantem zrobić.

Sprawa komplikuje się mocno wobec tego, że przyjaciele Słowiańscy pana Dmowskiego w Petersburgu z doby ostatniej zżywiają się gniewnie „w imię miłości wszechsłowiańskiej“ na ten „akt zaborczej polityki niemieckiej, święcącej nowe tryumfy na gruzach marzeń słowiańskich“ któremu właśnie „w imię miłości wszechsłowiańskiej“ przyklaskuje Prezes polskiego Koła. A znowu poseł Lecher w Wiedniu — jak donosi „Nowa Gazeta“ wbrew gniewom Birżowych Wiedomostiej — na intrygi i tryumfy niemieckie oświadcza uroczystie przy oklaskach 2,000 słuchaczy, że aneksja Bośni i Hercegowiny gotuje Niemcom austriackim nowe a groźne niebezpieczeństwo na południu państwa...

— Czy Pan pozwoli czekolady z pączkami, czy herbaty z ciastkami drożdżowymi — zapytuje mnie ponownie chłopiec cukierniczy.

— Mój kochany, idź do licha! Ja tu mam kłopoty europejskie, a ty mi zadajesz głupie pytania...

W istocie głowa chodzi mi kołem. Nadomiar pan Straszewicz w dowcipnym artykule w „Słowie“ wskazał mi na to, że

nasza prasa z lewicy, zwłaszcza ta nieprzejednana, napadając na p. Dmowskiego, tylko umacnia jego stanowisko w Petersburgu wobec Październikowców.

Daje się zatem przewidzieć, że Duma Petersburska po wakacjach wyciągnie serdecznie dłoń do pana Dmowskiego, opuszczonego przez skarb Narodowy i Związek narodowo-robotniczy za odstępstwo od idei niepodległościowej, — (ale może równocześnie — czego p. Straszewicz tymczasem nie przewiduje — będzie zniewoloną nastąpić mu na odcisk za zbyt głośne oklaskiwanie monarchii austriackiej, „uprzedzającej Rosję w prowadzeniu polityki słowiańskiej“ i zabierającej jej z przed nosa smaczne owoce bałkańskie, które zdawna kusily dyplomatów rosyjskich).

Ponieważ „Wolne Słowo“ zalicza się w prasie naszej do organów *lewicy*, a z drugiej strony nikt mu nie odmówił nigdy honoru nazywania się pismem *prawem*, nie wiem właściwie, jak mam wybrnąć z tego trzęsawiska dylematów politycznych.

Bo przypuśćmy, że w kwestyi i aneksyi Habsburskiej jestem zdania p. Dmowskiego. Winienem tedy jego zdanie poprzeć i przyjacielsko przyklasnąć jego wywodom w „Głosie Warszawskim“.

Ale — w konsekwencji wskazówek p. Straszewicza, obowiązany jestem na wypadek mojej zgody z p. Dmowskim napadać na jego poglądy, aby umocnić jego stanowisko w Dumie.

Wszelako napadając na p. Dmowskiego, ażeby mu ułatwić dobroczynne działanie na naszą rzecz w Dumie, muszę tego przyszłego dobroczyncę polskiego kompromitować w oczach narodu tu na miejscu...

I naodwrot, na wypadek mojej niezgody z p. Dmowskim, pragnąc skompromitować go przed Dumą, winienem oklaskiwać jego politykę i podnosić go w oczach narodu!

Zmniejszać wpływy, żeby podnosić wpływy — i zwiększać je, ażeby je pomniejszyć, — kompromitować, aby wysławiać i sławić, aby skompromitować, — wyrażać swoją zgodę napadem, a niezgodę oklaskiem — nie, panowie, to wyciąganie konsekwencji z trafnych odkryć Straszewicza doprowadzi mnie do szaleństwa!

Ale z drugiej strony, jeżeli nie będę myślał konsekwentnie, to przyjaciele również zapakują mnie do szpitala warjatów.

Słowem, jakkolwiek myśleć będę, nasza „wielka polityka“ zaprowadzi mnie na szlaki Jana Bożego i wołałbym...

— Proszę pana, może pan życzy sobie ciastek deserowych z herbatą?.. Bo tak czytać gazety bez niczego, to proszę pana...

— Idź do diabła... Zapomniałem portmonetki... Możesz sobie wziąć wszystkie gazety...

Wyszedłem oburzony.

W tem mieście niepodobna zajmować się spokojnie *wielką polityką*!..



GINĄCE SNY.

Nieszczęśni Serbowie

Bo śnili o Bośni,

Wtem z snu ich wyrwali

Sąsiedzi zazdrośni.

Chapnęły Chapsburgi!

O, „plany szatańskie“,

Chcą bardziej zśłowiańszczeć,

Niż Serby Słowiańskie.

I Turek zapłakał

Nad suknią pociętą;

Gdy fason chciał zmienić,

Skraj sukni mu wzięto.

O, Klio szlachetna,

Założoną włóż kiecę,

Gdy giną sny serbskie

I młodo-tureckie.

O, Serbie, dwa hafty

Dziś Polska ci dzierga:

Weź kosz od Dmowskiego

I lży Ehrenberga!

Tragedja Szecha.

Na bezbrzeżnie szarem tle naszego rodzimego bagienka, na którym igrają jeno fosforyczne ogniki zgnilizny duchowej — zabłysnęła w ostatniej dobie krwawą raną tylko jedna wielka tragedia.

Tragedja Szecha.

To wcale nie znaczy, aby epoka nasza nie знаła innych okropnych tragedyi... Nie! jest ich setki, może tysiące. Ale kryją się one wstydliwie pod powierzchnią życia, na dnie rozpacz.

Szech podniósł wysoko nad naszymi głowami krwawe strzępy swojej rozdartej duszy.

A pierwszy odruch, który ścisnął mi serce, gdy ujrzałem broszurkę byłego zakonnika p. t.: „Dlaczego?“ — był to odruch bolesnego zapytania:

— „Dlaczego on ranę swojej duszy pokazuje *wszystkim*? Przecież tutaj niema jej komu pokazać!“

A jednak rozumiałem dobrze, że on mu-

siał wynieść swoje cierpienia na plac publiczny.

Bo niepodobna *wczoraj* nosić odzieży zakonnej, być przepasanym grubym sznurem, chodzić boso wśród tysięcy obutych przyzwoicie filistrów — i mając twarz Szecha, piękną, natchnioną, bladą od męczeńskich wysiłków ducha, iść *dzisiaj* poprostu do krawca i włożyć nasz powszedni tużurek i wyjść sobie na miasto, jakgdyby nigdy nie nie było i nigdy nie nie miało stać się!...

Toć ta mała i podła ulicznica — nasza opinia biegłaby po piętach temu człowiekowi i pokazywałaby go palcem i krzyczałaby:

— Ex-zakonnik!..

A „przyzwoici“ ludzie, ocierając się o niego, mówiliby:

— „Ot, komedjant, zmieniający ubrania!“

I zachęcaliby uliczników do rzucania na niego kamyczkami.

Dokoła jego głowy, wczoraj nagiej w aureoli zakonnika, dziś przykrytej kapeluszem przeciętności mieszczańskiej, szumiałoby powietrze tem samem pytaniem: „*Dlaczego?*“. które on, uprzedzając natręctwo, wypisał na okładce swojej bolesnej broszury.

Napisał ją — bo był winien coś swojej godności ludzkiej i coś ciekawości świata — coś swojej przeszłości, a coś przyszłości swojej — i może przyszłości tych, którzy w milczeniu cierpią tak, jak on cierpi jawnie — był winien coś przyszłości, której zbiorowa myśl i zbiorowe uczucie piją długo ze źródeł duszy indywidualnej, zanim rzekną: „*jestem!*“ — był może winien coś literaturze ojczystej, która szczyła się ongi darami wielkiej wymowy kapłańskiej, był winien skargę wymowną rodzajowi krasomówstwa, który upadał od czasu Skargi — był wreszcie winien coś dostojności swojej sukni zakonnej i dziejowej powadze kościoła...

Boć tylko pogarda, albo wesola lekko-myślność porzucają coś w milczeniu.

Ale kto to miał u nas zrozumieć?..

Czytając łzami i krwią serdeczną napisane stronicie tej broszury, wiedziałem z góry, że nie wielu zrozumie, lub zrozumieć zechce tego samotnego człowieka, który nie był nigdy powszednim, doskonałym zlepkim rzeczy niepokodzonych, który był wczoraj *jednolitym*, jako zakonnik, a dzisiaj, łamiąc się w torturze rozczarowania, czyni potężny wysiłek, aby znaleźć nowy grunt ideowy — i stać się znów *całym*.

A i któż go miał zrozumieć?.. Kto mógł i kto chciał?..

Zresztą mniejsza o stosunek do niego pism klerikalnych. Ton, jakim mówią o jego secesyi, jest naogół poprawny, a stosunek normalny. Przyzna to każdy, kto zrozumie mus dyscypliny, ciążący na tych, którzy, stojąc na stanowisku kościoła, winni są bronić jego interesów — i nie mogą dopuszczać „zgorszenia maluczkich“, szerzonego przez zbuntowanych kapłanów... Niepodobna żądać, aby kościół, widząc, jak odpadają jego słudzy, postępował, jak owa rzymianka, która przy łóżu umierającego męża wbiła sobie sztylet w piersi, mówiąc: „Petusie, to nie boli“.

Nie mogę też nie zarzucić pismom postępowym. Jeżeli klerikalizm broni w danym wypadku idei autorytetu papieskiego przeciw rozczarowanemu przez encyklikę o modernizmie, to nasze organy postępowe mają przedewszystkiem na widoku — interesy postępu. Jest ich tak nie wiele, że nie mają czasu długo pozostawać przy psychologii danego zjawiska; ich interesuje przedewszystkiem jego socjologia. Czy Szech wywoła ruch reformacyjny w kościele? — oto jest pytanie, które stawia sobie jedno z tych pism *) i odpowiada: „nie!“ Odpowiada słusznie, bo dla podjęcia takiego ruchu, Szech musiałby być duszą mocniejszą, twardszą — i pozostać w sukni zakonnej (wtedy „Rola“ nie odetchnęłaby w poczuciu wielkiej ulgi). Inne pismo **), pilnujące interesów ideowych prawdy naukowej, oczywiście ze swojego stanowiska mogło skonstatować tylko, że Szech nie przeszedł na grunt wiedzy pozytywnej, że jego „poszukiwanie prawdy“ w tonacji swojej nosi w dalszym ciągu charakter „myślenia religijnego“.

Ale właśnie dlatego należało się spodziewać, że psychologię Szecha zrozumieją i odczują pisma konserwatywne, że znajdą dla jego zwątpień i rozczarowań gorące słowo współczucia, że zadrżą widząc, jak on rozdiera swoją duszę. Boć świeckich pism nie krępował mus żelaznej dyscypliny rzymskiej. Nie odrywał ich od byłego z nim duchownego w momencie rozstania rozpęd wolnomyslicielski.

Ba, gdyby to były pisma szczerze konserwatywne!..

Zadrgałyby bólem, powtarzając za Szechem pytanie: „dlaczego?“ — i pobladłyby...

Ale czy mogą blednąć ci, którzy nie mają żadnej twarzy?.. którzy zawsze chodzą w masce?..

Napozór z żalem ozwali się o „biednym

*) „Prawda“.

**) „Myśl niepodległa“

Szechu". Pożalowali, że się „zbląkał“... Ale ile zimna było w ich „współczuciu!“ Jaki „racjonalizm“ wiał od ich pseudo-krytycyzmu. Napuszeni powagą pustych dusz, które nie znają męki, ozwali się o Szechu chórem, że jest to „mętna głowa“. Oni, co rozwiązyali już wszystkie zagadki — kiedy żony i dzieci posłali do kościoła, a sami poszli na śniadanko. Oni, co nie rozumieją okrzyku głębokiej męki — powiedzieli tylko jedno: że Szech powinien był sobie zalutować usta!..

Zawstydzeni cudzem cierpieniem, żądali odeń „przyniesienia milczenia!..“

Sprowadzili wielką ranę do godności małego skandalu w kościele!..

Ach! ci nowocześni Epikurejczycy, podobni do owych starożytnych, którzy pocichu kpili sobie z ciemnoty tłumu, wierzącego w bajdy o przeobrażeniach Zeusa, schodzącego na ziemię z miłości ku ziemiankom, ale twierdzili, że nie wolno niszczyć przesądów religijnych, bo to groziłoby moralności ludu!.. A lud ten tak samo, jak dziś, grzązał w mrokach fetysyzmu i w błocie zdziczenia!.. Zaś weseli jego filozofowie-opiekuny wierzyli wprawdzie w to, że są jacyś bogowie, ale inni, niż wymarzyła sobie ciemnota tłumu i „światłość“ jego kapłanów — w każdym zaś razie tacy, o których ludzie „kulturalni“ w czynach swoich nie potrzebują się troszczyć...

Nie!.. to porównanie do starożytnych epikurejczyków, którzy byli ludźmi myślącymi — jest zbyt zaszczytne dla tych, którzy nigdy nie myślą o religii, którym wystarczy cudzy dogmatyzm... dla cudzych potrzeb, którzy nie będąc szczeremi sługami kościoła, mającymi prawo do szacunku, są jego dobrowolnymi lokajami — gardzącymi „mętnym rozumem“ Szecha, poszukującego prawdy!..

I nikt z tych „mędrców“, dla których wszystko jest jasne w nauce kościoła i jasne w życiu ludu, którzy ukochali nieruchomość myśli ludzkiej, jako podstawę dobrobytu... „wyższych klas narodu“, którym nęda umysłowa i moralna ludu nie przeszkadza pleść ciągle o umoralniającym wpływie religii i o mocy oświaty religijnej — nikt z nich nie zrozumiał, czym jest Szech!

Nie widzieli go, jak wszedł na trybunę w gorączkowe dni pokonstytucyjne w Filharmonii, kiedy władza pozwoliła nam wygadać się przez chwilę. Nie słyszeli, jak głos jego zabrzmiał w atmosferze, przesyconej długo tłumioną nienawiścią upośledzonych. W atmosferze niebezpiecznej walki domowej! Przed chwilą ktoś, co wszedł

z dziesięciu więzień, potrząsając wychudłymi pięściami wołał: „Burżuazja musi dać pieniądze! Bo ona będzie miała do czynienia z robotnikiem!“ A ten głos ochrypły namiętnością brzmiał tak potężnie, że dusze burżuazyjne drżały w kieszeniach i w piętach. Przed chwilą ktoś inny, rozwijając wstrząsający obraz dziejów 48 roku we Francji, mówił: „Pamiętajcie, towarzysze, że burżuazja was zawsze oszuka“. I jakiś głos namiętny, twardy, wzburzony, krzyczał przerażeniem i groźbą wśród tłumu: „Dlaczego?! dlaczego?!“ — i czyjeś ręce, konwulsyjnie zacisnięte, podnosiły się ku górze. A tego głosu pytającego przez kilka minut niepodobna było zagłuszyć. Nadaremnie uspakajali pytającego sąsiedzi, próżno przewodniczący nawoływał go uprzejmie: „Towarzyszu! dajcie mówić — zaraz wam wytłumaczę!“ Tak pytała ta ślepa namiętność, która nie jest w stanie wysłuchać tłumaczenia — bo starczy jej cień podejrzenia, bo chce zaraz biedzić i mścić się swoich krzywd. Mówiła w tej sali oburzona histeryja i okrutna powaga — i po sali bieгло to drżenie nerwowe, które jest znakiem zbliżających się pęknięć dziejowych.

Szech nie schował się w owej chwili, jak inni przewodnicy — kapłani. On wszedł w tę rozpaloną atmosferę. On wstąpił na tę trybunę, z której rzucano przedtem żużel drwin w oczy „fałszowi duchownych“. Nie zląkł się, że go zasyczą, zagwiżdżą. Począł mówić. Jasno, wyraźnie. Uciszał spokojem swojego głosu morze namiętności wzburzonych. On także mówił o ubogich. On też wzywał bogactwo do poskromienia swojej chciwości, do pomocy dla pracującej nędzy...

Ale jak on to mówił!.. Przypominał, że w dziejach swoich kościoł nie raz upominał się o krzywdy ubogich. Przypominał takich działaczy, jak Wincenty á Paulo, obrońca nędzy, wcześniejszy, niż wszyscy socjaliści. Przypominał, że ta myśl etyczna, którą przywłaszcza sobie całkiem „naukowy“ socjalizm — wyblyska naprzód w chrystjanizmie.

Napadał na krzywdę, bronił ubogich — ale ostrzegał przed gwałtem.

Czułem, że to jest jeden z tych rzadkich ludzi, którzy w godzinie burzy dziejowej przechowują skarby etyczne przeszłości, aby je donieść nienaruszone przyszłości.

Ten Szech, wyklinany dzisiaj przez kościół, był jedynym, który bronił dziejowej misji kościoła — wobec tych, którzy gotowi mu byli już bluźnić...

Powiem więcej...

To był jedyny człowiek, który wśród tego tłumu mówił w imię miłości wszechludzkiej — niezamąconej nawet cieniem nienawiści... I ten tłum słuchał go z uwagą i z szacunkiem. Bo w głosie jego nie było ani jednego tonu fałszywego.

Bo zdaje się, że ten cały tłum robotniczy zrozumiał w owej chwili, że to przyszedł mówić z nim jedyny w tem zbiorowisku ludzkim — prawdziwy chrześcianin!..

Proces ogółu polskiego z poezją

w XIX w.

Na przełomie pomiędzy epoką romantyczną i okresem pozytywizmu. — Poezja Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego — Poezja epigonów romantyzmu. — Wystąpienie Konopnickiej.

I.

Stosunek ogółu polskiego do poezji na przestrzeni lat przeszedł siedemdziesięciu tj. od wielkiej epoki zakwitającego romantyzmu aż po dni ostatnie, niedawne, rozgrzmiewające hasłami sztuki modernistycznej, — z pewnemi zastrzeżeniami da się przedstawić, jako stosunek pary małżeńskiej, która naprzód święciła gody ślubne w upojeniach i zachwytach miłości, w rozkosznej harmonii serc, później, po dobie klęsk narodowych, pod wrażeniem katastrofy 64-go roku pod wpływem brutalnych warunków i wymagań życia, skłócona i rozczarowana, prowadziła długo proces o separację, żyła w niezgodzie i obojętności, a obecnie pod parciem nowych głębszych odczuć, pod wpływem wskrzeszonych podaży ku temu, co jest Tajemnicą, pod wpływem rozświetlonych wspomnień przeszłości, rozbudzonych odgadnięć przyszłości, nowych nadziei i nowych rozczerowań, użala się długich lat niechęci, wstydu się długotrwałego oziębienia i do nowego na zmienionem tle czasu, a podniosłego dąży porozumienia.

Gdyby jakieś czule i delikatne serce uraziła niejaka prozaiczność w powyższem porównaniu, wtlaczającą poezję, tę — według Lenartowicza — „kochankę ducha, dziewczę z mieczem i w zbroi hartownej“ — w popoli na pozór rolę małżonki ogółu, gotów jestem zrozumieć tę subtelną urazę, zgodzić się na inne, poetyczniejsze przedstawienie rzeczy, na formy miłości platońskiej, czy stosunku narzeczeńskiego, lecz poprosić o przyjęcie na jedną chwilę skreślonej wyżej paraleli, mającej na celu ja-

skrawiej podkreślić głęboką zażyłość pomiędzy ogółem a dawniejszą poezją i sceny późniejszej niezgody, posiadającej wszystkie cechy procesu rozwodowego.

Gody ślubne były to te czasy, kiedy czytający ogół znajdował się pod świeżym urokiem romantyczności, sięgającej do skarbcza pieśni gminnej, by snuć ze złotego jej wątka czarowne dumki i ballady, kiedy odpowiadał entuzjastycznie na gromowy okrzyk „Ody do młodości“, kiedy płakał wraz z Gustawem nad nieszczęśliwą jego miłością dla „niewdzięcznej“ Maryli, wraz z nim posyłał klątwy „puchowi marnemu-kobiecie“, kiedy zachwycony poglądał na bogate tkaniny sonetów krymskich, na jawiące się w pieśni w ognjach zachodu, „w kolebce z obłoków“ szczyty Czatyrdachu. Lata harmonii uczuć ogółu i natchnień poezji były to te czasy, kiedy ogół z zapartym tchem w piersi, z oczyma palającymi szlachetną gorączką, z burzą łez w sercu, przypatrywał się, jak Gustaw odrzucał tęsknoty erotyczne, osobiste bóle, jak z mężką mocą, a w męce za miliony, przedzierzgał się w Konrada: kiedy ten ogół wsłuchiwał się w bolesny zatarg Mickiewicza z Siłą Najwyższą, w rozpaczliwe zapytanie Improvizacyi, rzucone Bogu na krawędziach świata przez Konrada: „Jeżeli w milion ludzi, krzyczących: ratunku! nie patrzysz, jak w zawile równanie rachunku...“ wsłuchiwał się, a pomimo głębokiej religijności, nie wzdygał się, bo tak samo czuł się wstrząśniętym rozpaczą, uciśniętym zwątpieniem, i omdlewał tak samo, jak Konrad, nie mogąc, nie chcąc dokończyć bluźnierstwa, podszeptanego przez szatana buntu czy niewiary. Te lata harmonii snuły się i później, kiedy zakłęta przez Mickiewicza w nieśmiertelne dźwięki i obrazy przeszłość wskrzeszała w „Panu Tadeuszu“, stawała żywo przed rozkochanymi w niej oczyma, kiedy w odległych wiejskich zakątkach Litwy uczono się na pamięć całych rozdziałów z poematu, ba! nieraz całego „Tadeusza“: recytowali go starcy chciwie chłonej ich słowa młodzieży, powtarzały go dzieci ku ucieście rodziców. Później zatapiał się ogół w „księgach Narodu i pielgrzymstwa“, przejmował się parabolami Mickiewicza, jego oczyma poglądał na dzieje, czerpał z krynicy jego mistycznych wyroczni, wraz z nim gorączkował się, marzył, wierzył, wraz z nim rwał się ku przyszłości, mającej wskrzesić formy przeszłości lecz nowym napelnione duchem.

Ta harmonia pomiędzy poezją i narodem miała inne wieloliczne kształty, ogarniała mniejsze lub większe, ale zawsze znaczne

koła czytelników. Drżała ona w tęsknem echu, towarzyszącem cichym westchnieniom Słowackiego nad wodami Aaru, w szalecie alpejskim; rozpyłyła się we wspólnych z Anhellim melancholijnych zadumaniach na wymarzonem przez poetę Sybirze emigracyjnym; rozpaliała się od ognia stosów, nad którymi miotła przekleństwa Roza Weneda, dzwięczały struny Derwidowej arfy, dzwoniły kajdany Lelum Polelum; wsiąkała w mgły poranne, z których wyłaniała się szklana postać Goplany; była ona w świętej trwodze, śledzącej za krokami Kordjana, wstępującego na cypel lodowy Mont Blancu, była w zasluchaniu się w jego straszliwe przysięgi w podziemiach Katedry św. Jana; była ona w zawstydzonem spuszczeniu głów na targające trzewiami wyrazy, idące od grobu Agamemnona, okropne słowa: „Bo nie masz władzy przekląć, niewolnico!” — była w porywie ku Towiańszczyźnie w ślady Mickiewicza i Słowackiego.

I jeszcze zgodność ideowa narodu i jego lutnistów ujawniała się w jednakowo nieprzepartej wierze w rozbłyskujący nad ruinami starego świata, zwycięski znak Krzyża, na widok którego padał w proch pyszny Pankracy z „Nieboskiej” Krasieńskiego, wołając: „Galilee vicisti!” Ujawniała się we wspólnych z Irydionem mściwych marzeniach, we wspólnych bólach nad podeptaną ongi przez brutalne stopy Rzymskie kwiecistą Helladą, we wspólnych z „synem zemsty” błakaniach po pustyni Rzymskiej kampanii, w nienawiści dla zrad i gwałtów „Romy”, w uwielbieniu dla zdławionej uciskiem krainy „Greckiej”. Szła myśl ogółu zasluchana, zaczarowana za poetą psalmów, zamagnetyzowana przezeń dzieliła jego wiarę, miłość, żal, porywy dobrej woli, śledziła wygnańca na obcych łąkach, dantejskim szlakiem idącego przez piekło życia, widziała go na łódce pod błękitami Włoch, prowadzącego bolesne ze swoją Beatrixą rozmowy, marzącego z nią razem o tem, że grób, „przyparty ręką olbrzymiego kata” rozewrze się „po trzech dniach” i wyjdzie zeń „biały duch Polski — Chrystusa narodów”. Myśl ogółu starała się schodzić w głąb historjoficznych pomysłów Krasieńskiego, rozglądała się w tajemniczej mgłę jego idei, z twardą ufnością wypatrując wraz z nim różowych przebrasków dnia jutrzejszego — dnia wolności!

Oto są w streszczeniu główne momenty tej harmonii, ułamkowe tylko, lecz, jak sądzę, wystarczające do odczucia całości obrazu.

Czas płynął — nastąpiła katastrofa — i po-

tok krwi rozdzielił sprzężonych ze sobą — ogół i poezję. W nasuwającej się następnie ciemności chwilami jakgdyby gubili się nawzajem z oczu.

W tym momencie nastąpił proces o separację.

Ogół rzekł do poezji: „Otom cię kochał — a przyprowadziłaś mnie do zguby. Oczarowany patrzyłem w Twoje oczy — a tys moje zakryła mgłą ulud. Wierzyłem ci — okłamałaś mnie mrzonkami i fantazjami. Słuchałem kornie Twoich natchnień — pchnęłaś mnie do nierównego boju. Żeglowałem po morzach do przyrzeczonych przez Ciebie pięknych lądów — teraz jestem rozbitkiem, wyrzuconym na skaliste wybrzeże. Skrzywdziłaś mnie. Musimy się rozjeść.”

„Mam pokrwawione ręce — muszę je zagoić. Burza poniszczyła wszystko, com miał. Muszę jąć się powszedniej, prozaicznej pracy, zasiewać podeptane pola, odbudować rozwalone domy. Boję się teraz mrzonek — potrzeba mi higieny i ekonomii społecznej. Pókim marzył i rozpalał wyobraźnię, słuchając kuszących Twoich podseptów, inni ubiegli mnie w rozwoju. Muszę ich doganiać, muszę się uczyć. Potrzeba mi wiedzy ścisłej. Przeszkadzasz mi. Odejdź. Albo raczej ja odejdę — idę w pole, do warsztatu, do szkoły, wszędzie gdzie można pracować w pocie czoła, a dokonać czegoś pożytecznego. Dość mi piękna, dość muzyki dźwięków. Trapi mnie nędza, otoczyła mnie ciemność. Nie mam czasu słuchać teraz Ciebie. Rozstańmy się!”

Tak mówił ogół — a raczej ta wysuwająca się naówczas na czoło narodu partja postępowca, która postawiła hasło pracy organicznej i za którą, ociągając się i krzywiąc, z początku krokiem niepewnym, niechętnym, przymuszonym, lecz potem pod wpływem rozwojowej inercji, mniej lub więcej świadomie, podażyły inne partje i grupy społeczne. Nie nabrały one w całości tego samego zabarwienia ideowego, co partja postępowca — zbyt wielkie dzieliły je z tą różnicą — ale na pewnych punktach, w pewnych dziedzinach działalności odbiły tamto zabarwienie. Niebawem w praktyce życiowej barwa ta zaczęła się przebiegać: zakrzątnięto się koło oświaty ogólnej i ludowej, koło prac społecznych, mających na celu podniesienie ekonomicznego dobrobytu.

Wystraszona taką postawą ogółu, przerażona zresztą samą katastrofą, która okazała, jak łamią się skrzydła orle, jak błędną tęcze marzeń, jak marzyciele lecą w przepaść, może poczuwająca się po części

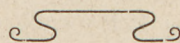
do win, stała poezja przez kilka chwil z zapartymi ustami. Nie, ucichnąć nie chciała nie mogła – ale była onieśmielona. Nie mówiła, kwiliła raczej. Bała się teraz pewnych tematów. Sama nie śmiała już marzyć, snuć pasma wspaniałych dawnych przyrzeczeń, tak strasznie rozerwanych, prysłniętych, zagrzewać do nowych bojów w kierunku zapartym przez stopy rumowisk. Nie chciała jednak zamilknąć i odejść. Lękliwie ją nucić piosenki na tematy niewyszukane, tęskne skargi, ciche westchnienia, mówiła o liliach i różach, o gwiazdzystych nocach i majowych porankach, o oczach czarnych i błękitnych, o koralowych ustach... Zapominała czasem o niedolach i trudach tej ziemi, wzbijając się w górę w skowronkowej pieśni...

Usłyszał te piosenki ogół postępowy i rzekł do poezji: „powiedziałem ci już: odejdz. Teraz powiadam ci to samo podwójnie. Byłaś kiedyś potężną, choć zwodniczą. Mogę skarżyć się na przeszłość, ale szanuję jej wspomnienia; wielbiłem cię, boś działała królewskim blaskiem na moje oczy, boś upajała moje uszy cudownymi melodjami. Miałem zresztą prawo upajać się, pókim był młody. Dziś jestem niby mąż dojrzały... Czemże chcesz mnie czarować dalej? Stałaś się ekliwa, mdła, dziecinna... Naucz się milczeć, ty mała poezjo zwyrodniałych epigonów wielkiego romantyzmu.

— Mamże umierać? — pytała poezja — Nie możesz, nie masz prawa zamknąć mi ust. Muszę żyć, bom nieśmiertelna. Muszę śpiewać, bo żyję. Śpiewam, jak umiem... Dlaczego głos mój nawet ci przeszkadza?..

A wtedy ów postępowy ogół mówił do poezji: „Owszem, zostań. Nie wypędzam cię jeszcze, nie zrywam z tobą. Ale pozwól mi narzucić ci pewne warunki. Chcesz żyć ze mną w zmienionych okolicznościach, musisz przystosować się do nich. Owszem, będziesz mi nawet pomocnicą, jak dawniej. Ale pomagaj mi w nowej mojej pracy. Przejmij się moimi ideami. Zagrzewaj mnie do nowych, innego rodzaju walk. Nawołuj do oświaty, protestuj przeciw nędzy, opiewaj potęgę młota i kielni, głoś hasła postępowe, stań się społeczną“.

(d. c. n.)



Aforyzmy.

Rewolucja mas, ogarniętych jednym uczuciem, a improwizowany gwałt jednostek — są to rzeczy zupełnie różne.

* * *

Morze nie utonie w błotnej sadzawce, ale rewolucja tonie w bandytyzmie.

* * *

Są czyny łatwe i brutalne, które szalonemu krótkowidztwu wydają się otwartą drogą do moralnego odrodzenia nawewnątrz i do wolności nazewnątrz, są zaś *bitym* gościńcem do moralnego zdziwienia i do przedłużonej niewoli.

* * *

Maruderzy armii rewolucyjnej nie są jej dzisiejszymi żołnierzami, ani jutrzejszymi wodzami.

* * *

Lekceważenie groźb władzy, która umie przemawiać językiem władzy, jest przywilejem szczęśliwych głupców wśród nieszczęśliwych społeczeństw.

* * *

Jeżeli ten, kto składa wygodnie ręce na brzuchu, nie jest ideałem ostrożnego mędrca, to przecie ten, co walczy, nie dowodzi jeszcze, że *umie* walczyć.

* * *

Można pytać, czy ludzi rozsądnych nie zobowiązuje marzenie o wolności. Ale wolni także zapytać, czy szermierzy wolności nie obowiązuje wcale rozsądek.

* * *

Pogromca oswaja lwa, zanim pozwoli sobie włożyć mu głowę w paszczę — a nawet z oswojonym lwem jest to sztuka ryzykowna.

* * *

Tylko szalony gracz każdą wygraną kwotę kładzie w następnej grze w całości na stawkę.

* * *

Mądry patryjotyzm oszczędza krwawe dorobki społeczne.

* * *

Naród nie może być Penelopą, która niszczy w ciągu nocy to, co utkała w ciągu dnia.

Dn. 27 Października 1908 r.

Nowa bajka z „Tysiąca i jednej nocy“.

MOTTO.

Błyskawico, chcesz być światłem,
Co uprzedza mądrze grom...
Czemu jesteś wraz piorunem,
Który bije w dom?!

Zyli-byli dwaj bracia — rozsądny Jussuf i szalony Hassan. Jussuf chodził do szkoły i uczył się; pił ze źródeł czystej wiedzy, która każe brzydzić się gwałtem. Hassan

biegał po boru, wyrzucał jaja kukulecze z gniazd — i dokonywał różnych psot.

Rozgniewało się niebo na szalonego Hassana, pędzącego dni w ciemnym borze, Rozgniewało się, że śledczemi swemi promieniami nie może przez gęstwą liści pochwycić figlarza na gorącym uczynku.

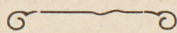
Padł jasny piorun — i uderzył.. w szkołę Jussufa.

— Hassanie, Hassanie! — wołał Jussuf — czy nie widziałeś mądrej błyskawicy, która uprzedziła cię, że piorun karzący upadnie?... Dlaczegoś się nie opamiętał — i naraził swojego brata na gniew nieba?!

A blady Hassan odkrzykiwał gdzieś zdaleka:

„Z ciemnego mojego boru widziałem błyskanie. Ale ile jest czasu pomiędzy błyskawicą a gromem?...

Dn. 28 Października 1908 r.



O powolnem rozwijaniu się uczuć prawnych.

(Prawo z przed setek i tysięcy lat)

Księciu płaconą była kara: w wypadku zabójstwa, dokonanego na drodze publicznej.

Karę płaciły opole, wieś, albo ród.

Uogólniając wszystkie te wypadki dochodzimy do wniosku, że kary płacone były nie przez przestępcę, lecz przez inne osoby wówczas, gdy osobistość przestępcy była niewiadomą.

„Najdawniejsze prawo zwyczajowe polskie“. Maks. Winawer. (str. 171, 178).

Jakże powoli rozwija się poczucie prawa — idea odpowiedzialności osobistej za przestępstwa!

Zasady, które przytoczyliśmy wyżej, przyjmujące odpowiedzialność zbiorową za winy przestępców nieodnalezionych, zaczerpnięte są z pomnika praw, napisanego według Helela, w Polsce, albo w ziemiach krzyżackich, przez sołtysa kolonii niemieckich lub wójta miasta niemieckiego, który szczególnie dobrze znał prawo polskie.

Są to zasady XIII wieku

Takie same zasady spotykamy we wszystkich starych prawach germańskich, w „Zwierciadle Saskiem“ i w „Zwierciadle Szwabiskiem“.

Takie same zasady stanowi „Ruskaja Prawda“.

Nie są to zasady nowe.

Przed tysiącami lat stanowiły one ducha praw wszystkich narodów, wykluwających się dopiero ze skorupy jurydycznego niemowlęstwa

Rozrzucając jest to prawo biblijne, które poucza, jakimi sposobami już przed trzema tysiącami lat starała się myśl żydowska uwolnić od musu tego prawa.

Utrzymywało się poczucie, że jest ono świętem jako prawo tradycyjne. Ale zarazem budziło się poczucie, że jest ono niesprawiedliwym. Prawodawca biblijny szukał wyjścia z tej kolizji dwóch poczuc — starego i nowego.

I stanowił (w Rozdz. XXI 5 ks. Mojżeszowej):

„Jeżeliby naleziony był zabity w ziemi, którą Pan Bóg twój dawał tobie, abys ją posiadał, leżący na polu, a nie widzianoby, kto go pobił:

„Tedy wynidą starsi twoi, i sędziowie twoi, i rozmierzą ziemię aż do miast, które są w około onego zabitego.

„A któreby miasto bliższe było onego zabitego, tedy wezmą starsi miasta onego jałowicę z stada, którą jeszcze nie robiono, a która nie ciągnęła w jarzmie.

„I zawiodą starsi tego miasta oną jałowicę w dolinę kamienistą, gdzie nigdy nie orano, ani siano i utną tam szyję jałowicy w onej dolinie.

„Zatem przyjdą kapłani, synowie Lewiego.

„Także wszyscy starsi miasta onego, które jest najbliższe zabitego, umyją ręce swoje nad jałowicą ściętą w dolinie.

„I oświadczą się mówiąc: Ręce nasze nie wylały tej krwi, ani oczy nasze na to patrzyły.

„Oczyść lud twój Izraelski, któryś odkupił Panie, a nie poczytuj krwi niewinnej w pośrodku ludu twego Izraelskiego. Tedy oczyszczeni będą od onej krwi“...

O, naiwnie-mądra ofiara z ubiegłych wieków!

Jakże dalekie są od nas te czasy, kiedy ofiarą jałowki nie znającej jarzma, uwalniała się zbiorowość od kary za wykroczenia jednostek!

Trzy z połową tysiące lat!

Czas ofiarnych jałowek, nie noszących jarzma, minął bezpowrotnie...

Niekiedy ogarnia mnie tęsknota za temi naiwnie-mądrymi czasami!...

Bo dziś...



Od kaszlu, chrypki, ka-
taru oskrzeli i t. p.

Prawdziwe Sodeńskie
mineralne Pastylki Fay'a

Do nabycia we wszystkich
aptekach i składach aptecznych
po 70 kop. za pudełko

Niezbędne podczas przy-
krej pory roku.

Odrzucić stanowczo falsyfikaty
i żądać wyraźnie: **Pastylki FAY'A.**

SKŁAD GŁÓWNY

Tow. Akc.

LUDWIK SPIESS i SYN
w WARSZAWIE.

Reprodukcje
OBRAZÓW i RZEZB

Karły poczułowe
PASSE-PARTOUX
i Fantazyjne ramy

POLECA

M. Puder

Marszałkowska 137

1-sze piętro.

Telefon 168-07.

LEO BELMONT.

TRZY ODCZYT Y

I
TLUM

jak myśli, czuje i działa.

II
Burzycielski i twórczy
pierwsiastek w rewolucjach.
Oświecenie Deklaracji Praw.

Cena Rub. 1.

III
Walczące Idee, siły i namie-
tności czasów zamierzających
i chwili bieżącej.

Warszawa—1908.

Skład Główny w Księgarni Powszechnej.

Kurjer Lubelski

Pismo polityczne, społeczne
i literackie.

Kurjer jest prowadzony od 2-ch
lat przez grono intelligen-
cyi w duchu postępowym.
Jako organ wolny i niezależny pod-
jął przedewszystkiem zadanie słu-
żenia demokratyzacji społeczeństwa pol-
skiego ze szczególniejszem uwzględ-
nieniem warstw pracujących.

Kurjer działa w myśl najszerzej
pojętej tolerancji reli-
gijnej.

Prenumerata Kurjera wynosi:

Rocznie w Lublinie 5 rb. 40 k.,
kwartalnie 1 rb. 30 k.

Po za Lublinem rocznie 6 rb.,
kwartalnie 1 rb. 50 k.

Redaktor i Wydawca **Leo Belmont.**

Kurjer Łódzki

Dziennik polityczny, społeczny
i literacki.

wychodzi 2 razy dziennie,
pod kierunkiem **St. Książka.**

Prenumerata w Łodzi: rocznie rb. 6,
półrocznie 3 rb., kwartał 1.50, mie-
sięcznie 50 kop. Za odnoszenie lub
przesyłkę 20 kop. miesięcznie.

REDAKCJA

ulica Zachodnia No. 37.

Telef. № 253.

Pola Esperantisto

organ towarzystw
esperantystów polskich.

Treść № 10: Konkurenci Esperanta
(po pol.) Leo Belmont.—Echa z Kon-
gresu — Na Jungfrau, przekład A.
Grabowskiego. — Z pustyni Gorgon.
Kronika. — Bibliografia.

Rocznie 2 rb. — Numer 15 kop.

ADMINISTRACJA

Hoża No. 20, mieszk. 12.

„PRAWDA”

Najstarszy tygodnik postępowy w Królestwie Polskim, prowa-
dzony obecnie w duchu zasad Polskiego Zjednoczenia Postępowego.
Prawda jest czasopismem politycznym, społecznym i literackim.

Co kwartał abonenci „Prawdy” otrzymują, jako dodatek bezpła-
tny do pisma, 6-cio arkuszowy zeszyt dzieła naukowego. Obecnie
wyjdzie w dodatku: „Prawo do całkowitego wytworu pracy” Menger'a.

Cena prenumeraty „Prawdy”, płatna rocznie, półrocznie lub
kwartalnie, wynosi: w Warszawie Rb. 8, — na prowincji, w Cesarstwie
lub zagranicą Rb. 10.

Adres: Redakcji i Administracji: Warszawa, Rysia 3, tel. 73-80.

Społeczeństwo

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY i POLITYCZNY.

Prenumerata wynosi: z odnoszeniem do domu rocznie rb 7 kop. 60.
Kwartalnie rb. 1 k. 90. Miesięcznie kop. 65, Numer pojedynczy kop. 15.
Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9. Kwartalnie rb. 2 kop. 25. Numer
pojedynczy kop. 15.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Żórawia 29 m. 2. Tel. 116-67.

Druk Kaniewskiego i Waclawowicza, Zielna 20.